

Rozdział I

Kirkcaldy

W czwartek trzeciego lipca dwa tysiące czternastego roku (dokładnie o godzinie jedenastej czterdzieści) dwaj księża podążali wijącym się a niekończącym korytarzem edynburskiego lotniska. Jeden z nich, starszy, odziany był w garnitur i księżowską koszulę z koloratką. Drugi, młodszy, występował w pełnym służbowym rynsztunku. Oglądało się za nimi całe lotnisko i trzeba sobie wprost powiedzieć, że ten starszy, czyli ksiądz Tadeusz Wieczorek, miał już wszystkiego powyżej uszu.

Cyrk zaczął się jeszcze na Ławicy, kiedy bramka zadzwoniła na przechodzącego przez nią Jana Peregryna, co spowodowało ożywioną interwencję celników. „Żeby tylko go nie zapytali,

czy nie ma czegoś niebezpiecznego, bo ten mały drań gotów sobie zrobić benefis z wykorzystaniem mojej anegdoty!” – pomyślał z niepokojem proboszcz. „Trzeba było łobuzowi za dużo nie opowiadać!” A tak się składało, że w kieszeni sutanny, a więc poniżej pasa, miał Janeczek wetknięty mu w ostatniej chwili przez mamę srebrny różaniec po prababci Kotoń. Przez Janka jeszcze nie używany 1.

Różaniec włożono do skrzyneczki, ale pana celnika to nie satysfakcjonowało.

– Proszę zdjąć wierzchnie okrycie! – oznajmił surowo.

– Proszę? – zdziwił się grzecznie Jasiek. – Co mam zdjąć? – Fakt, było ciepło i kurtek żadnych na sobie nie mieli, jechały w bagażu nadawanym.

Celnik pokazał palcem. Dziwny jakiś był, chyba nie wiedział, jak takie coś się nazywa.

– Nie mogę – powiedział rozkosznie Janeczek.

– Co znaczy, nie może pan?! – najeżył się celnik. Aha, jak „pan”, to dużo wyjaśnia.

– Nie wolno mi zrzucić sutanny – odpowiedział Jasiek, uśmiechając się pogodnie. W sumie racja, ale w znaczeniu przenośnym, czego jednakże celnik nie wiedział. W odróżnieniu od księdza Tadeusza, w którym wszystko zaczęło się gotować. Perswadował swojemu wikariuszowi,

¹ Jeżeli czytelnik nie rozszyfrował sygnalizowanej anegdoty, narrator pozwoli sobie odesłać go do rozdziału XII *Drogi do Ahtoty*.

żeby w czasie podróży ubrał się na krótko, ale on oczywiście zaczął się stawiać i zrobił po swojemu.

– W takim razie przechodzimy do rewizji osobistej! – zagroził celnik.

– My? – zdumiał się Janek. Otaksował celnika od góry do dołu i uśmiechnął się słodko. – Proszę bardzo!

„Od kogo on się nauczył takich tekstów?” – pomyślał wkurzony ksiądz Tadeusz. „Od ojca czy szwagra? A może od obydwóch?” – Jak widać, na weselu Bachów została mu opowiedziana ze szczegółami historia spisania protokołu przedślubnego.

I w tym momencie, o dziwo, celnik się poddał. Być może miały na to wpływ rozbawione spojrzenia kolegi od taśmy i koleżanki-celniczki. Przegonił tylko ponownie Jaśka przez bramkę, która tym razem zajarzyła się na zielono, i dał spokój.

Wtedy przyszła kolej na proboszcza, któremu zakwestionowano zawartość saszetki podręcznej w postaci insulinówek. Jasne, ksiądz Tadeusz jako terrorysta żgający insulinówką stewardessę w oko... Sam miód! Teraz dla odmiany Jasiek popatrzył sobie z satysfakcją; ostrzegął szefa, żeby strzykawki przewozić w bagażu odprawianym, ale ten się bał, że zginą, że polecą innym samolotem i co on potem zrobi. No to teraz ma i musi się gimnastykować z zaświadczeniem lekarskim (wraz z jego wersją angielską sporządzoną przez tłumacza przysięgłego). I tak dobrze, że w związku z koniecznością zdobycia tegoż zaświadczenia

został zmuszony do osobistego pofatygowania się przed oblicze doktora, czego dotąd unikał jak mógł, odświeżając sobie tylko recepty.

W samolocie sutanna Jaśka zadziałała zgodnie z wykładnią Cejrowskiego, że ksiądz poprzez strój służbowy winien prowokować sytuacje misyjne. Mianowicie dosiadł się do nich pewien Niemiec, z którym wikary pogawędził na tematy wyższe. Po niemiecku, tylko gdzieniegdzie sztukując sobie wypowiedź angielskim, jak stwierdził z podziwem i odrobiną zazdrości proboszcz. On sam z innych języków nowożytnych mógłby spróbować swoich sił jedynie w rosyjskim. Włoski w seminarium szedł mu jak z kamienia...

Wyszli przed terminal i utknęli. Nigdzie nie było tabliczki *pick up zone*. Ksiądz Tadeusz postanowił pokazać smarkaczowi, że też umie się obrócić, i swobodnie zagadnął do taksówkarza o drogę. Niestety, jego miłość własna została pohańbiona, bo w odpowiedzi usłyszał tylko coś całkowicie niezrozumiałego. Zażenowany wbił w Jaśka oczekujące spojrzenie.

– On mówi w *Scots*, proszę księdza – pośpieszył z wyjaśnieniami Janek. – Ja też mam problemy, a to dopiero przedsmak, czyli wersja *Lallans*. Jakbyśmy się przejechali do Aberdeen, to dopiero by się ksiądz poczuł jak w Norwegii! Zero zrozumienia!

Coś tam jednak chyba zrozumiał, bo pociągnął proboszcza na zadaszony parking. Faktycznie, tak jak się umawiali, czekał tam na nich

ksiądz Błażej od salwatorianów, jeden z dwóch, którzy zostawali w Kirkcaldy w parafii świętego Niniana. Księża Wieczorek i Niziołek mieli posługiwać w St Marie's z doskokiem do St Pius.

Gospodarz, odziany po cywilnemu, przyjrzał się im, a szczególnie Jankowi, z sympatią i lekkim pobłażaniem.

– Od razu można poznać, że jesteście z Polski – powiedział wesoło. – Tutaj poza kościołem nie widuje się księdza w sutannie.

Janeczek już otwierał gębę, ale proboszcz całkowicie w stylu don Camilla kopnął go pod osłoną wkładanej właśnie do bagażnika walizki i łobuz się przymknął. Do czasu.

Przy przejeździe przez zatokę ksiądz Tadeusz zajął się podziwianiem znanego mu z internetu Forth Bridge, przez co Jasiak mógł bezkarnie dorwać się do głosu. Z prowadzonej przez całą drogę dyskusji wynikało, że faktycznie w pewnych dziedzinach życia czeka ich jeśli nie szok kulturowy, to twarda adaptacja.

„Narobi sobie kłopotów, cholerny uparciuch” – pomyślał z obawą proboszcz. Brzydkie słowo niech mu będzie wybaczone przez wzgląd na ojcowskie uczucia do podwładnego.

W Kirkcaldy ksiądz Błażej zajął pod małą, sympatyczną restaurację i zaprosił ich na lunch. Przyjęli propozycję z radością; byli już solidnie głodni, wydawało im się, że od ostatniego zjedzonego na Jarosławskiej śniadania minęły wieki całe.

Gospodarz nie męczył ich długą menu i od razu zadysponował *spécialité de la maison* w postaci *fish and chips*. Jak się okazało, każdy znał tu każdego, a uśmiechnięty od ucha do ucha kelner, najwyraźniej uprzedzony o ich przyjeździe, próbował konwersować po polsku: najpierw zebrał staranny wywiad, jak w języku gości mówi się *delicious*, a potem począł zachwalać, że danie jest „pyszny”.

Rzeczywiście, ryba była pyszna. Najwspanialsza, jaką ksiądz Tadeusz jadł jeżeli nie w życiu, to na pewno przez ostatnie półtora roku, kiedy to pani Teresa raczyła ich wyłącznie łososiem gotowanym w folii. Każdy, kto dania takiego próbował, wie, jak smakuje. I każdy, kto był na Wyspach Brytyjskich lub choćby dysponuje wyobraźnią, potrafi porównać je z porządnym *fish and chips*...

Jan Peregryn, człowiek może i lekko szalony, lecz dobry i odpowiedzialny, a proboszcza, jak wiemy, szczerze noszący w sercu, przeżywał straszliwe męki. Tona panierki. Frytki i danie główne smażone w głębokim oleju. A szef pożera to wszystko jak wołoduch, tylko oczy mu się śmieją.

– Szczepił się ksiądz? – wyszeptał najdyskretniej jak mógł kącikiem ust. W odpowiedzi proboszcz tylko radośnie przytaknął. „Szczepić się” oznaczało w ich domowym języku oczywiście wstrzyknięcie insuliny, co delikwent uczynił przy okazji wizyty w kibelku.